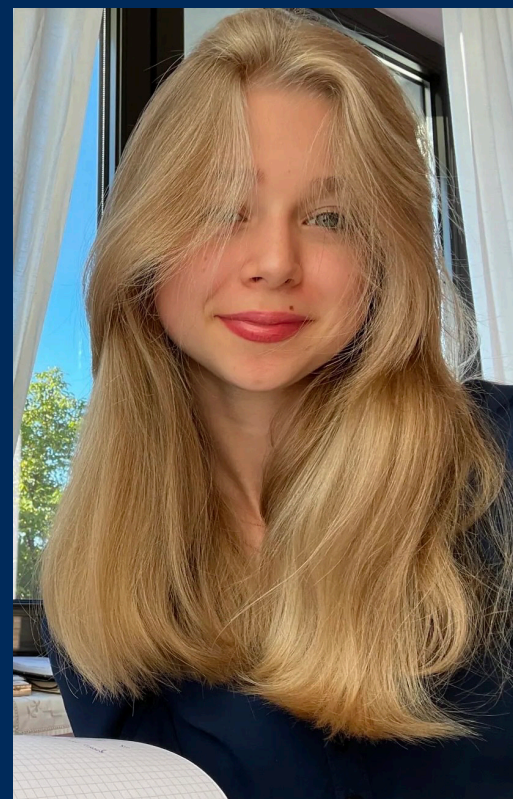


MALWINA
KRAWCZYK

ULGOWY DO EDENU, POPROSZĘ



na ratunek dzieciom
z chorobą nowotworową FUNDACJA



MALWINA
KRAWCZYK



MALWINA
KRAWCZYK

**ULGOWY
DO EDENU,
POPROSZĘ**

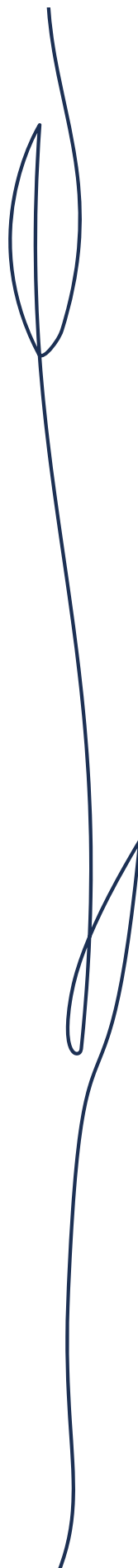
Wrocław, 2025

Wydawca:



spis treści

jestem	5
kawalerka nad sklepem z antykami	7
my, we wnętrzu zegara	9
teraz	11
latarnik	12
wczoraj	14
spieszcie się	15
zmierzch	17
Atlantyda	18
teatr cieni	19
autoportret	20
zapominam	21
telefon	22
morpheus, my dear	23
teatr	24
licentia poetica	26
szklane domy	27
***	28
schody	29
kochanek w starym stylu	31
Rubikon	33
Persefona	34
żona Lota	35
wróźbitka	36
zapach zakazanych owoców	37
nieprzyzwoicie	39
w cieniu platanów	41
głupcy którzy marzą	43
bzy	45
koniec świata	47
osty	48
zabić drozda	49
sprzeciw od wyroku zaocznego	50
gdybym wiedziała	52
definicja świata	53
ogród Hesperyd	54
jestem powrotami na tamtą ulicę	56



jestem

w moim mieście
wszystkie drogi prowadzą do raju
a grzesznicy mają pierwszeństwo

w moim mieście
kamień węgielny kościoła przebity jest na wskroś
a ja bez trudu mogę przejść na drugą stronę
wystarczy zamknąć oczy

odgarnąć dłonią pajęczyny
ostrożnie
jak gdyby zbierając kwiaty
wejść bez strachu w szczelinę muru

jaśniej jest tam niż na rynku
a i więcej miejsca niż wśród ludzi
gdy wzrok przyzwyczai się do gęstej
niczym krew
ciemności
a ręce do płynącego w ich żyłach światła
powoli wstanę

nie wiem zupełnie
jak to się stało
ale zanim się obejrzę
będę po drugiej stronie obrazu
powietrze ma tam jeszcze zapach terpentyny
i olejnej farby

mój wzrok przyciąga tylko
figowe drzewo
namalowane
zdecydowanym pociągnięciem pędzla



jestem córką Ewy
nieznaną i bezimienną
jestem wędrowcem
wychylającym się poza bezmiar widnokręgu
jestem kobietą

która każdego dnia
przegląda się w lustrze
czuje
dumą
strach by jej nie utracić
dumą że nie utraciła

jestem ślepcem na drodze bez końca
i to moje najspokojniejsze ja
którego nie sposób objąć czasem
jestem

po prostu
jestem

kawalerka nad sklepem z antykami

kawalerka
nad sklepem z antykami
z widokiem na park
i smukłe łabędzie szyje
odbite w lustrze jeziora
ponoć są sobie wierne całe życie
a oczy mają jakoś podobne do twoich

nadal jeszcze
z oddali dobiega drżący głos dzwonka
w sklepie poniżej
nadal jeszcze
unoszą się zapach kawy papierosów i niezapominajek
jakby same niebo spoglądało w okrągłe okno w dębowej ramie
na pochyłe pismo
rozmażane łzami czy może herbatą

kawalerka
nieduża mansarda ot nic wielkiego
niewidzialna przechodniom idylla
nad sklepem z antykami

trochę odrapana ściana
poplamiony winem dywan przykrywający dziurę w parkiecie
dawniej komplet filiżanek w pudełku po butach
rozmiar 37 czółenka też
dziś tylko puszka
kakao najwyższa jakość Wenezuela
a w nim roztrzaskane kawałki porcelany nie do pary
i zapach zimnych wieczorów

książka z zagiętym rogiem
i sklejone plastrem okulary
niedokończony list
i niedopita herbata
niewypowiedziane słowa
uwięzione gdzieś między dwudrzwiową szafą
a stolikiem z jedną krótszą nogą

kłopoty w raju
przecież nie mogli wiedzieć
przecież nie było nic prócz ukradkowych spojrzeń
oboje wchodziliśmy innymi drzwiami
i nie włączaliśmy radia

nie mogli wiedzieć

gdzieś jeszcze leży pewnie guzik twojej marynarki
i moja spinka do włosów
jedyne pamiątki po nas
prócz świadectwa smukłych łabędzi

*Wiersz nagrodzony w XXVIII Ogólnopolskim i XLII Wojewódzkim
Przeglądzie Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej LIPA 2024
pod patronatem Prezydenta Miasta Bielska-Białej*

my, we wnętrzu zegara

dwójka ludzi w opuszczonej ruderze
panoptikum tych wszystkich pijaków
artystów ze spalonego teatru
upadłych gwiazd
zmęczonych widokiem słońca
zapachem świeżych kwiatów

i tylko odrapane pianino
bez dwóch klawiszy w ostatniej oktawie
i nuty podarte i poplamione
i ciężki oddech
przecież to tak niewiele
przecież wszystko toczyło się dalej

lecz gdyby tak połączyć nitką
tych wszystkich ludzi dla których
czas się zatrzymał
można by uszyć z nich
sweter na wszystkie zimne dni tego świata

gdyby tak zliczyć tych wszystkich ludzi
którzy teraz tańczą potykając się
o książki
skarpetki
rozrzucone zabawki

gdyby tak zliczyć tych wszystkich ludzi
którzy w niepewności patrzą w okno
wypatrując
ich wspólnej gwiazdy

tych wszystkich ludzi

całujących się teraz w pośpiechu
trzymających w ciszy za ręce

tych wszystkich ludzi
którzy niepewni jutra
modlą się o szczęśliwe dzisiaj
i wspominają wczoraj
którzy rozumieją się bez słów
a i tak mówią ich tysiące

którzy przewracają się
z boku na bok
bez przerwy
we wszystkie bezsenne noce
a w każdym wschodzie słońca
widzą tylko blask czyichś oczu

którzy czekają
parzą herbatę
z nerwów prują krzywy ścieg
z obłędem w oczach patrzą na klamkę

szaleńcy głupcy
dla nich świat się zatrzymał
tak samo jak dla mnie

teraz

muszę się bardzo spieszyć
z zaznaczeniem w kalendarzu *teraz*
w końcu *zaraz* będzie *przed chwilą*
a gdy zapatrzę się w okno stanie się *kiedyś*

nie mogę wziąć czerwonego długopisu
jak to robię w przypadku wydarzeń ważnych
znanych mi z wyprzedzenia
w końcu *jutro* to *nie teraz*
a *za miesiąc* to *nie dzisiaj*

nie wiem zupełnie czy warta jest
fatyga zaznaczania
prawo nie działa wstecz
a ja całe *teraz* zużyję
wraz z wkładem mojego długopisu
i skrawkiem wolnej przestrzeni na mapie kalendarza

teraz jest bardzo kapryśne
nie pozwala mi się na wypowiedzenie
pierwsza sylaba staje się już *kiedyś*
druga jeszcze *później wkrótce zaraz*

może ta cisza
ten ruch języka gdzieś między zębami
to właśnie *teraz*
przetapiane przez wszystkie znane mi czasy

czasy bliższe i dalsze
współczesne i staromodne
czasy dobrobytu
czasy gdy miało się jedne buty
czasy gdy stary świat był jeszcze nowym
czasy nieznane mi dotąd i już zapomniane

latarnik

stukot butów latarnika odbija się echem od ścian nieba
raz dwa trzy
rozlega się szczęk metalowych stopni
metronom poganiający
skrzypka przygrywającego na strunach światła
dwa dwa trzy

wiatr który targa posiwiałymi włosami latarnika
zagłusza srebrzące się wśród ciszy flażolety
jeszcze tylko pare kroków
trzy dwa trzy

przytroczony za pasem pęk kluczy
brzęczy na kształt
trzmieli przysiadłych na zwiędłych kwiatach
raz dwa trzy

pokąsane dłonie zaciskają się kurczowo
na poręczy
na zbolątej skroni
dwa dwa trzy

szklane oko latarnika wpatrzone jest w mętne morze
drugie błądzi gdzieś ponad horyzontem
zazdrośnie spogląda na płynące statki
trzy dwa trzy

zaraz z cichym traskiem zgaśnie księżyc
zalegnie gęsta słodko nieprzytomna
niczym likier noc

latarnik przycupnął na najbliższej z gwiazd
z uwagą zwinął papierosa
przytknął jego koniec
do żaru zagasającego słońca
założył nogę na nogę
i czeka cierpliwie świtu

spogląda szklanym okiem w mętne morze
niezmiennie zimne od czterdziestu lat
wciąż dziwi się
że zapomniał swetra

a drugim okiem zerka tęsknie
na cień rzucany przez żagle

wczoraj

wczoraj
księżyc świecił jaśniej niż kiedykolwiek
wczoraj
gwiazdy spadały z nieba obiecując nam
spełnienie wszystkich życzeń
wczoraj
śpiewałam pieśń w oliwnym ogrodzie
której wysłuchał wiatr i szepczące liście

wczoraj
wypatrywałam cię z okna
niecierpliwe szarpiąc wzrokiem horyzont
gdzieś ponad czasem gdzieś ponad sobą
rozszały ptak w klatce żeber
zagryzione wargi
zbielałe palce
zaciśnięte na krawędzi światów

wczoraj
byłam młoda
wczoraj
jeszcze myślałam że odłamki szkła
nie wpadną mi do oczu
uparcie gryzłam wzrokiem
zakurzoną szybę
okno na drogę którą chodziłeś
okno na mój mały wielki świat

a dzisiaj
a jutro
przecież to tylko słowa
jutra już nie ma dzisiaj rozsypało się w palcach
wczoraj byłam młoda
wczoraj nie musiałam wiedzieć

spieszcie się

spieszcie się
wszyscy kartografowie
hydrołodzi i geografowie

Styks każdego z nas jest ruchomy
jego źródło nie ma początku w żadnych górach
a i tak płynie już tylko w dół

jego prąd mąci w głowie
a spragnionym po trudach podróży
nie dane będzie uświadczyc łyka zimnej wody

szukajcie lichwiarki by zastawić
życie i dewizkę
czas wam się nie przyda
i tak już go straciliście
na zbędnych poszukiwaniach
tajemnicy świata

weźcie ze sobą siekiery
by wykupić dług
ścinając głowy
później przydadzą się jako wiostła
a woda optucze z nich kainowe znamię

spieszcie się
wszyscy kartografowie
geolodzy i geografowie

nie znajdziecie drugiego Parnasu
ten prawdziwy runął już tysiące razy
na głowy śmiazków i u stóp zwycięzców
nie dosięgniecie jego szczytu
ani nie odetchniecie wśród rozpostartych wokół chmur

gdyby jednak zmrużyć oczy
spojrzeć ponad mapy kartogramy i wykresy
zobaczycie gdzieś w oddali
jaśniejące zbocze
upuścicie kopiowy ołówek
nie będzie wam potrzebny
Parnas runął
a mapy nie lubią rzeczy niewidocznych dla ślepców

zmierzch

gaszę księżyc
rozmontowuję słońce
to takie bezwstydne
tym całym blaskiem
oświetlać swoją niemoc

gdzie zgubiłeś te dni
co wypadały nam z rąk

za każdym razem gdy otwieraliśmy oczy
słońce było już na drugim krańcu horyzontu
poszerzyliśmy go na miarę swojego wzroku

staję przy oknie
bez siły by poruszyć niemymi wargami
bez siły by podnieść drewniane dłonie

biorę do jednej ręki atrament
ważąc z rozmysłem
wylewam na czarne niebo

c z e k a m

plamy wsiąkną w atlas rozpostarty nade mną

biorę do drugiej ręki niezapisane kartki
z bólem w skostniałych palcach drę je na kawałki
patrzę jak powoli spadają z wysokości mojego okna
bielą rozpostarte skrzydła wolnych ptaków
przecinając czarne niebo
i żwir na który spadną

zamykam wtedy szczelnie okno
i z cichym trzaskiem
gaszę elektryczne światło

Atlantyda

mogłabym siedzieć bez końca
na krześle ustawionym w rogu
z którego widzę codziennie zmierzchające słońce
spacerujących i tych biegnących w pośpiechu
rozkryczane dzieci
zirytowanych zwykłych ludzi
niedoszłych samobójców
zakochanych
kochających

zawsze pod ręką mam teatralną lornetkę
zwykłą prostą
nie żadną szylkretową czy z masy perłowej
ma przerysowaną soczewkę i brakuje jej jednego pokrętła
trudno jednak stwierdzić
czy obraz jest wybrakowany
tylko trochę zamazany
mętny
jak gdybym oglądała zatopione miasto
beziemiennych mieszkańców współczesnej Atlantydy

gdy odkładam lornetkę
oddycham z ulgą
lecz jeszcze przez chwilę
wiruje mi w głowie
może to po prostu rozpędza się ziemia
ja i moje krzesło postawione w rogu

teatr cieni

pochyleni w hołdzie słowom
których nie rozumieliśmy
oddani hasłom
które z transparentów zmył wiosenny deszcz

wygnańcy potępieńcy
potomkowie Dawida
graliśmy w teatrze cieni
nie widząc nic poza nimi

nikt nie odsunął głazu u wrót naszej jaskini
a my uwięzieni na deskach sceny
śmieszni aktorzy na umowie losu
krzyczymy w niebogłósy

nasz krzyk rozdziera kotary
gasi reflektory
upada teatr cieni
głos nam uwiąż w gardle

zapada głucha cisza
ciemność wykluwa nam bezlitośnie oczy
gdzie się podziały cienie
gdzie się podział nasz własny głos

próbujemy w ciemności odnaleźć nasze twarze
trudno wyczuć pod palcami
pajęczynę słów
szkielet formy i idei

rozmyty szkic niejasny zarys
czym jesteśmy
jak nie cieniem
Boga

autoportret

tej nocy opuścimy ramy naszych obrazów
jeszcze ten jeden raz
a ja przysięgnę na gwiazdy
i idylliczne akwarele
i szklane domy których nigdy nie zdążyliśmy wybudować

przysięgnę że
już nigdy nie opuszczę ramy obrazu
która waha się na przekrzywionym gwoździu
tak jak ja waham się gdy mam odejść

we włosach masz jeszcze odpryski olejnej farby
nadal jak przed laty utykasz na lewą nogę
na której zadrżał pędzel znużonego malarza
twoja kochanka wygląda nerwowo poza granice aktu
dziwnie nie jestem zazdrosna
o nią ani o jej nagie ramiona

pospiesz się musimy zdążyć przed świtem
i unikać wzroku harpagona
samo słońce nie pamięta
kiedy zagarnął posadę rozdawcy czasu
ono i tak zbyt szybko się spieszy
by zaprzętać sobie myśli troskami synów Ewy

dlaczego spoglądasz przez ramię
przecież to tylko jeden z nieudolnych szkiców
plamy farby losu rozlanej kawy

mrugasz oczami jakby zaszły terpentyną
dziwisz się gwiazdom chmurom
pochylonym ku ziemi trawom
są zbyt prawdziwe
dla naszych nieprawdziwych portretów

zapominam

zapominam
peselu i imienin matki
zapominam
kogo widzę gdy patrzę w lustro

zapominam
kupić gazety gdy idę po bilet
ale nigdy zawrócić z przystanku

zapominam
o lekach do śniadania
o konieczności przełknięcia śliny gdy zabraknie słów

zapominam
ubrać rękawiczki
choć często je zmieniam
wziąć oddech
przymrużyć powieki gdy słońce zajaśnieje zbyt mocno

zapominam
nakręcać co rano zegarek
choć on uparcie mi przypomina o sobie
zmarszczką na czole i cieniem pod powieką

zapominam
rozwiesić pranie lecz nigdy siebie
między Scyllą i Charybdą
zapominam
dnia w którym jeszcze pamiętała

telefon

nie mogę podnieść słuchawki
inaczej wydam wyrok
na ciebie i na mnie

na ciebie
słuchania trzasków na linii
gdy w popłochu szukam
prawego buta z krokodylej skóry
słów
listy zakupów

na mnie
udawania ze szukam
prawego buta z krokodylej skóry
słów
listy zakupów

nie mogę podnieść słuchawki
słucham więc jej obojętnego głosu
i wydaje tym samym wyrok
na wszystkie samotne gwiazdy

smutnego obowiązku
liczenia też milczących kochanków

morpheus, my dear

nie pamiętam
dnia w którym się urodziłam
dnia w którym pierwszy raz się zakochałam
ani tego w którym umarłam

zbyt jasny byłeś dla tego świata
ciemne noce nie wielbią latarników
a upalne dni zupełnie o nich nie pamiętają

tak jak ja
nie pamiętam
że nie wolno mi było odwracać głowy
patrzeć na płonące miasto

przecież tyłu było przede mną
i tyłu będzie po mnie
oni też nie znali się na historii
a ja nie czuję się zupełnie winna

nie pamiętam
dlaczego tej nocy obudziłam się z dziewięć mil od domu
dlaczego nie poznałam w lustrze kobiety
z którą budzę się i zasypiam
dlaczego podkreśliłam podwójną kreską ostatnie słowa listu
podkrążone oczy

błogosławię moje szaleństwo
mogę zadawać sobie w nieskończoność te pytania
byleby nie myśleć

j e s t e m s z a l o n a

teatr

początkowo zerkalam raz po raz w libretto
kapryśny los improwizował jednak większość kwestii
wkrótce zrezygnowałam z daremnych wysiłków
w milczeniu
skupionym wzrokiem
śledziłam każdy grymas aktorów

zastanawiałam się
jakie to zabawne
zostać na scenie
podczas gdy ja będę jadła kolację
w restauracji ulicę dalej

jakie to zabawne
walczyć dalej z wiatrakami
malutkie istoty zamknięte w pętli czasu
jakie to tragiczne
nie móc już nigdy wyjść z oświetlonej reflektorami sali

czy ci ludzie
czy oni widzą te same zachody co ja
czy przydeptują na nos suflerowi
i sycząc
daj spokój zamknij się już
nie zważają na słowa
wymachują rękoma jakby się topili

czy ci ludzie
czy oni wiedzą że istnieje świat za kurtyną
i inny horyzont poza ostatnim rzędem krzeseł

boli mnie głowa
i czuję się mętnie mdło nieprzytomnie
coś dławi mnie
woda wypełnia płuca
oczy razi elektryczny
histeryczny blask

czas opuścić
panoptikum próżnych

licentia poetica

byłam jestem będę

wykrzyczę te trzy słowa na arenie całego świata
nikt nie zdoła powstrzymać dźwięku
wyzierającego sponad mojej krtani
wyrzucanych do przodu spracowanych dłoni

nie widzę nieśmieszności tej chwili
nikt nie pochwyli mojego śmiechu
nikt nie zakwestionuje
śmieszności ostatniego słowa

nie wiem co jest lepsze
mieć głos czy rozum

nie wiem też co jest gorsze
ochrypnąć na oczach świata
czy postradać zmysły w samotności

nie mam patentu na moje słowa
nie płacę tantiemów

mam zaledwie
kilka kropel atramentu
jasne światło lampy
niezapisane kartki
wystrzępione myśli

szklane domy

niebo dzisiaj jakby ze szkła
spogląda na nasze szklane domy

a my tylko milczymy
śledząc wzrokiem porcelanowe chmury

jedyna stała rzecz w naszym porcelanowym świecie
ani się obejrzymy a będą zupełnie inne

ani zdążymy krzyknąć
a będą dusić nasze szklane domy
i nie nasze szklane niebo

przykurzone okno boga
nieśmiali w nie spojrzeć
spojrzymy sobie w twarze

w szklane oczy
trzymane poziomą zmarszczką
i ciemnymi chmurami wokół

zmieniamy się szybciej niż one
a pozostajemy wciąż tacy sami

my którzy milczymy
my stojący naprzeciw
szklanych domów

nie znałam cię
wiedziałam tylko że śpisz na prawym boku
pijasz kawę na mleku migdałowym
masz słabość do ciastek z karmelem

znałam tylko twój pesel
przepis na ulubiony sernik
i grupę krwi

słyszałam twoją każdą rozmowę
z przyjaciółką
bogiem
i sumieniem

tego dnia
czułam się zupełnie zdrowa
winiłam za to
kwitnące kwiaty wychylające się słońce zza chmur
słodką herbatę

mogłabym
bez końca nie pamiętać
tańczyć na trawie
nie odwracać głowy
planować
szeptać życzenia widząc spadające gwiazdy

gdybym wiedziała do kogo należała ta ostatnia
wypowiedziałabym zupełnie inne słowa
wystarczyło tylko nie wracać
a bym już nigdy się nie dowiedziała
że jednak byłaś mi tak bliska

nie znałam cię
ale to twoja gwiazda spełniła moje życzenie

schody

schody jakich jest wiele
schody doczesne
ziemskie wszechschody donikąd

raz dwa trzy

roztacza się echo minionego kroku
czy słyszysz prawa lewa
zapada się zmurszała drewno

przecież to nie schody do Persepolis
ani żadne tam hiszpańskie
przecież to schody jakich jest wiele

schody doczesne
ziemskie wszechschody
aschody co to za nic mają sobie
wszelkie prawa grawitacje i ciążenia

to nie jest takie trudne
najpierw jeden but
niezawieszana podeszwa
dziurawe sznurówki

drugi but
uszc znęty czubek
wypastowane nieparzyste oczko

dwa dwa trzy

na samym końcu zwierzchnik tego kawałka
skóry podbitego gumą
rządzony kaprysem mięśni
ścięgien nerwów

trzymany w ryzach swetra
wspomnień szali

to nie jest takie trudne
lewa prawa
później
będzie już tylko w dół

złap oddech
stopnie są policzone
nie patrz za siebie

chwyć się zbawiennej poręczy
nie biegnij
bo się zmęczysz

niech schlebia ci myśl że każdy nimi szedł
uwłacza ci wyobrażenie że nikt ich nie ominął

patrz pod nogi to tyle
tajemnicy nie ma
jak jest to tylko nieodkryta
marmurowa zimna

trzy dwa trzy

jeszcze tylko krok
będzie już tylko w dół
schody jakich jest wiele
schody z piekła do piekła

jeszcze tylko krok
będzie już tylko w dół

kochanek w starym stylu

kochanek w starym stylu
my upici old fashioned
my stojący we framugach drzwi
my nie znający kalendarzy
spoglądający co moment na zegarek
wyczekujący następnej nocy

kolejnego lata odrzucę tylko do tyłu głowę
my?
obrócę w dłoniach nasze roześmiane twarze
skądże
a przeciw nam będą świadczyć tylko
poczerniałe od nocnego nieba i papierosowego dymu
chmury pod naszymi oczami

przekłête poranki przekłête wieczory
przekłéta noc która nie może trwać wiecznie
i jeszcze chwilę dłużej

kochanek w starym stylu
spotykamy się na kolacji o dziewiątej

pierwsza druga trzecia czwarta piąta
przekłęty czas
przekłęty dzień który trwa wieczność
i jeszcze chwilę

gdzieś na dnie torebki
skrawki paragonów
list na serwetce
ze znaczkiem z czerwonej szminki
my wypatrujący
my nasłuchujący

kochanek w starym stylu
zaprosisz mnie do tanga
a ja zgodzę się tylko dlatego
by usłyszeć raz jeszcze gdy podpowiadasz mi kroki
by raz jeszcze się mylić
choć znam każdy ruch na pamięć

my
upici old fashioned
zakochani bez pamięci
kochankowie w starym stylu

Rubikon

patrzę w okno
lecz nie widzę nic poza odbiciem poszarzałej twarzy

rozmawiam ze ścianami
i słyszę tylko echo pustych korytarzy

uchylam drzwi szafy
brak mi marynarki
którą mogłabym pożyczyć
i nigdy nie oddać

każdego dnia przyrządzam coś między dwie a półtorej porcji
karmię okoliczne koty
kosz na śmieci
własne sumienie

materac wgnieciony jest po jednej stronie
i tylko jedna poduszka ma przetarte szwy
przetarte wytarte starte
rumieńce z twarzy

patrzy na mnie ta bladość z zaparowanego lustra
a ja tylko kiwam głową
zakręcam kran z wodą

wieszam z uwagą tetrowy ręcznik
spoglądam w znużone oczy kobiety w lustrze
podaję jej rękę

jak gdyby nigdy nic
bez świadków
bez słów
bez zbędnego tłumaczenia komu gdzie i dlaczego

przekraczam Rubikon

Persefona

życie Persefony jest bolesne i martwe
zupełnie jak oczy tych których kładzie do snu
całymi dniami
całuje ich sine usta i trzyma zimne dłonie
choć to ona najbardziej potrzebuje słońca

matka wplotła jej we włosy letnie promienie
i zasadziła w sercu wiecznie kwitnące irysy
mówiąc tylko
my też byliśmy młodzi
choć wie
że Persefona nigdy nie była

spogląda martwym spojrzeniem
na ojca wszystkich umarłych
i kocha go wbrew sobie

może gdyby ją piękniej kuszono
miękością trawy
niegasnącymi gwiazdami
owadziim nektarem
ptasim śpiewem
nie byłaby tak wierna

zamyka oczy
zupełnie jakby nie chciała spojrzeniem
skazać na śmierć królestwa matki

niepomna na wszystko
sądzi umarłych
dumna kochanka Hadesa
choć to ona czuje się winna

żona Lota

beziemienna żona imiennego
już zawsze nieruchoma w oczach nazwanego miasta
i nienazwanej chwiejności w stronę upadłego

deszcz palił jej włosy a żwir ranił bosc nogi
może w dłoni ścisnęła ostatnią pamiątkę
może trzymała rozerwane sukno szaty

wyobrażam sobie jej oczy
stały się lustrem dramatyzmu świata
odbiciem tafli stonyc łez

zatrzymana córka niezatrzymanego żywiołu
matka żona i kochanka

czy wiedziała że zastygnie
między czasem a wiecznością
czy gdyby mogła jeszcze raz biec przed siebie
z tym samym uporem spozrzałaby za lewe ramię

może słyszała kobiecy głos gdzieś z oddali
może nie słyszała nic
w ostatnim pożegnaniu
akompaniował jej

przecież to mogła być każda każda kobieta
lecz to ona była matką dzieci Lota
herą domu
upadającego gdzieś w językach ognia

beziemienna żona imiennego
zatrzymana kapłanka niezatrzymanego

wróżbitka

całe niebo jest szare
gdzie są czasy w których wierzyliśmy
że świat na czarno-białych fotografiach może być kolorowy
gdzie zostawiłeś gitarę z zerwaną struną
gdzie zgubiłeś spojrzenie którym potrafiłeś mnie przekonać
że wszystko ma sens

nie wiem dlaczego wciąż odwracam głowę
przecież wiem
że całe niebo jest szare
jednak jest coś
co pozwala mi wciąż śnić

błogosławię marzenie ściętej głowy
to jedyne co mam
jestem bogatym człowiekiem
który jada co drugi dzień
i śpi pod kołdrą z pierza gwiazd

co wieczór zapalam papierosa od wygasającego słońca
wróżę z kłębow dymu i namiętności planet

masz długą linię serca
i szare oczy
bliższe są mi niż rozpięte nad nami ślepe niebo

dokąd idą ludzie którzy płacą mi by usłyszeć to co chcę
nie znam ich przyszłości wiem tylko że oni jeszcze wierzą
że świat z czarno-białych fotografii jest kolorowy

nie zamierzam palić za nimi mostów
i ściskam w zaciśniętej dłoni
ocalałą drzazgę ostatniego z nic

zapach zakazanych owoców

spytałem mego ojca
jak kochać
nienawidzieć
iść przez rozstąpione morze
pod kurtyna zimnej wody skapującej mi na kark

jak ścinać głowy
by nie zadrżała ręka
opatrzyć poranione żwirem dłonie
jak zrywać z ciemnego nieba gwiazdy
układać kwiaty i ostrzyć miecze

on patrzył na mnie nieprzytomnie
a otępiały głos dobywał się gdzieś
sponad nas

uwierzyć że świat nie kończy się na siódmym kręgu
wyszeptał
uwierzyć że zatrzyma się walka z wiatrakami
gdy nadejdzie najsilniejszy wiatr

nie wahać się nigdy
lecz zawsze pamiętać jak chybota jest szala na której stoimy
nie szukać utraconego raj

iść

iść za zapachem zakazanych owoców
kochać bez pamięci
nienawidzić bez zapomnienia

prosta jest tajemnica świata
dopóki jej nie poznasz
dlatego
nie odwracaj głowy

po prostu idź

idź za zapachem zakazanych owoców
i blaskiem wschodzącego słońca

nieprzyzwoicie

nieprzyzwoicie
jest nie czytać gazet
tylko by mówić że nikt nie mówił

nieprzyzwoicie jest
nie nosić butów na wysokim obcasie
tylko by mówić że nikt nie prosił do tańca

nieprzyzwoicie być przyzwoitym
tylko po to by
milczeć gdy trzeba
a krzyczeć tylko szeptem

bawią mnie stare sztuczki
lecz nic nie irytuje bardziej niż ich brak
dlatego chwyć mnie za rękę
to zupełnie nieistotne czy
przed chwila gdzieś się spieszyłam
przecież to nie nasza wina
że tak na nas patrzą

inaczej
nie mogłabym teraz
potrząsać głową
nie mogłabym wzdychać
tańczyć
kaleczyć rąk rozbitymi kieliszkami
grozić światu sobie i Bogu

musiałabym jedynie
jak tysiące
przyzwoitych ludzi
poprawić płaszcz
kupić bilet na rogu

nieznacznie skinąć niebu
które przed momentem przeklinałam
nieprzyzwoicie

w cieniu platanów

brukowane ulice
brukowane domy
brukowane twarze ludzi
wszystko to martwe
lecz nie sprawia że czuję się żywa

szklane niebo
szklane od płaczu oczy
szklane domy
które razem budowaliśmy
z chmur i perlistego śmiechu
zostały listy

rozpadające się w palcach
zostałam ja
rozpadająca się w palcach

nasze kroki
zgubione gdzieś pośród opadłych liści
myśli wyblakłe od popołudniowego słońca
zahaczone przez gałęzie drzew

a gdzieś między złocącym się bukiem
a jaśniejącą brzozą
my siwiejący na skroniach
i dedykowana nam jesień

zapisana przez kościste palce drzew
na skrawkach paragonów
rewersach zdjęć
na marginesach kocich łbów

usiądnijmy na ławce w cieniu platanów
chylących się ku ziemi
opre głowę na twoim ramieniu
słyszac twój szept

a może to tylko wiatr
a może to tylko jesienna miłość

głupcy którzy marzą

przecież nikt nie umie marzyć lepiej niż głupcy
naiwni jeszcze wierzą
wierzą bogom i poezji

wierzą w miłość i spadające gwiazdy
głupcy ślepcy starcy i dzieci
i świat im sprzyja
i gwiazdy spadają i piszą poeci

gdzieś tu wydarzył się cud
choć jeden przeciw wielu nie-cudom
wierzą w sny i znaki na niebie

śnią marzą kochają
wierzą nieporuszonym rzeźbom i lichym chmurom
i świat im sprzyja
i gwiazdy spadają i piszą poeci

gdzieś na ocienionych ławkach
składają sobie obietnice
nie widzą świata w który wierzą
mijają się kluczą i gubią

znajdują w gwarze
na przystanku
we wspomnieniu
w starym gramofonie

dla nich nic nie jest prostsze
zamknąć oczy
stanąć gdzieś pośród zgiełku
zamętu ulicznego
w kurzu krzyku i popiele chwytać babie lato
złożyć pocałunek Lamourette'a na ustach dnia i nocy

a świat im sprzyja
gwiazdy spadają i piszą poeci

bzy

przrzeknij
nie zapomnisz
nie możesz
zaklinam w imię wszystkich bezsennych nocy
w imię duszących dni

nie możesz
tak po prostu
bez pozwolenia mojego
bez pozwolenia Boga i upadłych aniołów
tak po prostu zapomnieć
pierwszych wersetów
zapomnieć nas
zapomnieć kwitnących bzów

przrzeknij
idąc ulica
spójrzysz w okno na ostatnim piętrze
usłyszysz trzask rozpalonych południowym słońcem
drewnianych stopni
rozlegnie się bezpowrotnie utracony szept
ostatni raz na ścianie zatańczy nasz cień

nie zapomnisz
krzywizny bioder
udrapowania szala
załamania rozedrganego płomienia w źrenicy
zerwanych strun światła
przrzeknij

przrzeknij na życie na śmierć na to wspomnienie
przrzeknij na mnie na siebie na stare mury
na ciepłe wieczory senne poranki i na stracenie

byliśmy młodzi
a pamięć jest niewierna
w nowym wystroju świat wygląda smutno

dlatego zaklinam
błagam i grożę
przysięgnij
pamiętaj

po prostu nie zapomnij nas
i kwitnących bzów

koniec świata

obcy jest mi świat
na którym nie ma ciebie

obce mi są sny
w których ciebie brak

obce mi są dni
kiedy puste oko słońca
bezlitośnie rozbiera mnie spojrzeniem

pytam aż do zdartego gardła
a odpowiada mi tylko retoryczne echo

nie wiem w czyj koniec świata wierzyć
świętego Jana
jasnowidzów
telewizyjnych reporterów

nie kończy się to co nie istnieje
a podwaliny wszystkich moich światów
są w twojej walizce

stoję więc z boku
patrząc na czekające psy
na starców podwiązujących pomidory
na ich za krótkie sznury

i za niski balkon w Weronie
płoną wawrzynowe lasy
a ja płaczę jedynie nad bukietem zwiędłych róż
które dałeś mi zeszłego lata

osty

szukam pośród twarzy
zupełnie mi nieznajomych
zaplątanego w wiatr kosmyka włosów
echa szarpanych strun

i wciąż uparcie i skrycie
spoglądam pod nogi
przecież
gdzieś pośród rozsypanych
na drodze do raju
kamyków gwiazd żwiru popiołu musi być
zapisana tajemnica świata

w sinej kałuży widzę
moją głowę wspartą na twoim ramieniu
to tylko pień figowego drzewa
i trawy szepczącą
jakby same do siebie
zupełnie obojętne na moje spalone słońcem ręce

gałąź po gałęzi
chmura po chmurze
tak wyglądają
schody do raju
a na każdym stopniu wypisane jest twoje imię

to tylko nakreślone pospiesznie słowa
to tylko rzucane przez topole cienie
to tylko ja
otępiona
potępiona
zaplątana w osty i cierniste róże

zabić drozda

zabiliśmy drozda
kolacja stanęła ci pustą kością w gardle
patrzyłeś na mnie pustymi oczami
a ja z utkwionym wzrokiem w pustej filiżance
wróżyłam z fusów po herbacie

zresztą
wszystko było pogrzebane
prócz resztek naszej kolacji

zabiliśmy drozda
zamilkł cały ogród
najcichszy szelest liści
uwiążł drzewom w gardłach
spokorniały marsowe twarze buków

gdzieś tylko
ze smutkiem w oczach
stary więz
wśluchiwał się w ledwie uchwytny
bezdech drozda

zupełnie jak każdego popołudnia
szliśmy pod ramię brukowaną aleją
potykałam się na kocich łbach
w pysku każdego z nich nakrapiane pióro

a milknący ogród wykrzykiwał tylko
zabiliście drozda

sprzeciw od wyroku zaocznego

sgn. akt. nieskończona
wartość sporu niepojęta

wnoszę niepewnie prośbę
o ostatnie sądzenie

ostateczny trybunał był zupełnie bezlitosny
niektórzy gderali o dwuinstancyjności i trybie odwoławczym
ale ja wówczas miałam przyciasne buty i drżącą krtań

z cichym grymasem oddałam
płaszcz spódnice
kolczyki przetarty portfel z rybią łuską
rachunek za prąd i los na loterię

żał mi było tylko naszego zdjęcia
przecież mogłam go nie rozpoznać
w tym tłumie

widziałam mężczyznę z książeczką pełną czeków
rzucano je pospiesznie na bruk błękitu
widziałam
dokumenty wstążki do włosów i artykuły prasowe

poczułam niesprawiedliwość świata
bo co to za sprawiedliwość gdzie wszyscy są równi

jakaś kobieta ścisnęła maszynę do szycia i dziecko
ktoś niósł wydanie Nietzschego licząc na autograf
pomylił piętra ale nie było odwrotu w świecie trąb apokalipsy

widziałam ludzi dumnych
cały swój świat mieli w oczach
osypane kredą dłonie były ich pensum
jasne spojrzenie biletem

rozpaczliwie myślałam o karcie przetargowej na drugą stronę
modliłam się o przychylność osądzonych
i sądzących

przyjm mnie panie to moje ostatnie słowa
słowa spękanych ust

niżej podpisana
beziemienna

gdybym wiedziała

nie wiem
i wielkie to szczęście
gdybym wiedziała

czy bym nadal
patrzyła pod nogi
liczyła dni
miała nadzieję
stała na szali

ukrywała oczka w żorzetowej falbanie
deptała trawniki
łuskała fasolę
pastowała buty

nie musiałabym
pilnować szczegółu
pamiętać o połamanych okularach
dbać o wizję Dantego
czekać rozważać
czytać klepsydr ani ich odwracać

nie musiałabym tak wiele
nie mogłabym jeszcze więcej

definicja świata

gdybym znalazła kiedyś definicję świata
przeczytałabym ją w ogromnym skupieniu

tak jak czyta się list od ukochanego
kupon rabatowy
pismo sądowe i instrukcję obsługi tosteru

z pewnością poprawiłabym teraz okulary
pośliniła kopiowy ołówek
zagięłabym nawet róg
tak jak zagina się rogi ważnej książki

wyjęłabym może arkusz brystolu
by nanieść na niego to
czego przez tysiąclecia nikt na niego nie naniósł

zrywam się z krzesła
zrywam zegarek
zrywam więdnący obrus

teraz stanęłabym przy oknie by opić się słońca
teraz spojrzałabym na ulicę o tam
teraz podniosłabym rękę o tak
spojrzałabym w czerep kartek i pastisz świata

nie patrząc otworzyłabym okno
wpuściłabym słońce i kurz
teraz podarłabym definicję świata
wyrzuciła za okno
o tak

ogród Hesperyd

robaczywe jabłka a droższe od złotych
może dlatego że na tamtych
starcy kruszą zęby czasu

najstarsza z sióstr przysiadła pod zmurszałym pniem
głaszcze wyliniałego jastrzębia
podpiera głowę
przykurzonymi dłońmi

mruży oczy w słońcu upalnego popołudnia
nawet już nie pamięta
czego miała pilnować

strzeże
pogubionych guzików
piór sroki
ogryzków
rozkładających się na drodze

pod drabiną stoi Atlas
czeka na pecha
z nudów trzyma w rękach połamane sztachety
gwizdże pod nosem

na siebie
na świat
na chwilę gdy sięgnie
po nalewkę
domowej roboty

tylko Hera
krząta się bez przerwy
balansuje na dziurawym wiadrze
koślawym pismem
pisze na płocie
w y p r z e d a ż g a r a ż o w a

jestem powrotami na tamtą ulicę

jestem powrotami na tamtą ulicę
poza mną nie ma nic
moje żyły biegną jej arteriami
na tamtych kocich łbach
zostały odcisnięte moje ślady

pod wiatami przystanków donikąd
gaszę niedopałki
wyglądam spod nich po ulewach

tych miejskich
tych własnych

w moim kieliszku strugi deszczu
w oczach jej panorama

na tamtej ulicy
mnie pocałowałeś
ktoś na niej brał ślub
ktoś składał obietnice

lecz teraz jest czas by iść
już nigdy nie spoglądać
ponad uliczny pył